

Przyjazne państwo, czyli modernistyczny patriotyzm.

Zapewne będę prawil banały, jeżeli zacznę opowiadać, że świat staje się jedną wielką wioską i, że różnice narodowe jakby traciły na znaczeniu, ale za to nabiera znaczenia kontrola nad nami, bo terroryzm, zagrożenie etc. Ktoś przecież się musi troszczyć o nasze bezpieczeństwo. Tylko jak te hasła z filozofii społecznej przekładają się na życie praktyczne ?

W felietonie pt. "Schengen. Liberalizacja czy Orwell?" opisałem sytuację po zniesieniu kontroli granicznych. Owa „liberalizacja“ polega na tym, że potencjalna kontrola jest hic et nunc, tu i teraz, wszędzie i w zasadzie nigdzie, coś na kształt partyzanta wietnamskiego. Zapewne kierowcy jeżdżący zawodowo po Europie mogliby coś na ten temat więcej powiedzieć. Mnie znane są opowieści kierowców, którzy stali już z rękami do góry, a panowie w mundurach sprawdzali miejsce po miejscu ciało osobnika. Oczywiście wszystko w ramach rutynowej kontroli, a nie ze względu na podejrzenie o coś. Musimy się chyba przyzwyczajać do tego rodzaju scen. Zresztą mentalność człowieka jest bardzo elastyczna. Weźmy na przykład Big Brothera. Początkowo w zamyśle autora była to antywartość. Big Brother zaglądał do naszego życia prywatnego i był przez to bardzo „upierdliwy”, coś gorszego niż ciekawska teściowa lub sąsiadka. A teraz szczytem powodzenia i otwarciem drogi do kariery - przynajmniej w pewnych kręgach - jest poddanie się Big Brotherowi i pokazanie mu całego naszego ja i to bez obciachu. To dopiero jest kołchoz.

Jak wiadomo żyjemy w czasach, gdzie wszystko stawia się na głowie. Zaczęło się od tego, że Marks postawił Hegla na głowie, a potem posypały się inne propozycje z rogu obfitości. Białe określa się jako czarne, czarne jako białe itd. Kupiłem kiedyś farbę w sklepie. Było napisane: „biała”, a okazało się że dostałem szarą. Farbę zareklamowałem. Ekspedient pouczył mnie, że jak potrzebuję białą, to muszę kupić megabiałą lub śnieżnobiałą albo polarnobiałą. Acha. A jak potrzebuję czerwoną, to mam kupić zieloną ?

Przytoczony przeze mnie przypadek kontroli autobusu w ramach „liberalizacji“ w oparciu o Układ z Schengen spotkał się z takim oto komentarzem: trzeba powiadomić MSZ, co też z nami wyrabiają ci.....

By rozproszyć wszelkie wątpliwości odnośnie możliwości uzyskania pomocy przez placówki dyplomatyczne za granicą przytoczę historyjkę, jaka przydarzyła się mojej żonie. Nadmienię, że było to w czasach krótkotrwałego względnego liberalizmu przed rokiem 2001.

W ramach naszej podróży poślubnej wybraliśmy się do bratniej Kanady. Zanim dotarliśmy do naszego brata, były swego rodzaju przygody, które z innego punktu widzenia unaoczniają nam zjawisko przyjaznego państwa. Moja żona po wielkich bojach u naszego kanadyjskiego przyjaciela, po moich oświadczeniach, że broń Boże nie mamy zamiaru pozostać tam dłużej niż na czas przeznaczony na wycieczkę, po przedstawieniu trasy i kasy, uzyskała wreszcie wizę turystyczną u naszego sprzymierzeńca z NATO. W każdym razie, gdy w czasach upadającego komunizmu udałem się do zaprzyjaźnionego Azerbejdżanu było o wiele łatwiej. Ale szczęście z wizą nie trwało długo. Na krótko przed odlotem moja żona zgubiła paszport we Frankfurcie nad Menem, skąd akurat mieliśmy startować za ocean. Zgłosiliśmy to do biura rzeczy znalezionych, ale niestety nikt zaginionego dokumentu nie zwrócił. Udając wariata w dniu odlotu udaliśmy się jak gdyby nigdy nic na lotnisko i oświadczyliśmy, że bilet owszem i mamy, ale paszport został zgubiony. Pani w mundurze na lotnisku okazała się niezmiernie wyrozumiała i stwierdziła, że z jej punktu widzenia nie ma problemu i jest w stanie wystawić dokument zastępczy, ale nie wiadomo tylko, czy władze w Toronto zgodzą się na przyjęcie takiego pasażera. Dlatego zaraz wysłałem w tej sprawie depeszę do Toronto. Takie niegdyś tzn. jeszcze pod koniec ubiegłego wieku panowały liberalne zwyczaje. Na lotnisku nawet butów nie trzeba było zdejmować, a teraz często panują zwyczaje jak przy wejściu do meczetu. Gdy jednakże przy omawianiu szczegółów okazało się, że zaginął dokument polski,

pani oświadczyła, że nie chce wchodzić w kompetencje władz polskich i mieszać się w nie swoje sprawy. Poradziła udać się do polskiego konsulatu. Nie będę dalej opowiadał całych przygód związanych z wycieczką, ale nadmienię tylko, że strajkujący Air France, mający przetransportować nas za ocean, zainteresowany był wówczas skreśleniem każdego pasażera z listy, bo był zobowiązany do zapewnienia lotu zastępczego, który wiązał się z oczywistymi stratami firmy. W każdym razie moja żona już wcześniej skontaktowała się z konsulem. Oczywiście dodzwonienie się do takiej placówki, to inna sprawa, bo w telefonie podanym w książce telefonicznej nikt nie podnosił słuchawki. Pewnie urzędnicy byli zajęci troską o Polonię za granicą lub czymś innym równie bardzo ważnym jak na przykład kontakty międzynarodowe. Ale od czego mamy znajomych, którzy w końcu już z takimi placówkami mieli do czynienia i podali nam numer telefonu do urzędników mniej troszczących się, ale za to podnoszących słuchawkę. Przy pomocy takiego numeru to można przy odrobinie szczęścia pogadać sobie z samym konsulem, oczywiście, jeżeli w tym czasie nie jest zajęty troską o Polonię. Konsul bardzo przejął się sprawą, ale niestety stwierdził, że nie może wchodzić w kompetencje wojewody, który wydał dokument i sprawa nie jest taka prosta. A to ci heca. Okazało się, że Polska jest krajem federacyjnym i to do tego stopnia, że konsul musi kłaniać się wojewodzie.

Oczywiście finał był zupełnie inny, bo wiadomo, że obywatel bez NIP-u, Peesela i dowodu tożsamości nie jest człowiekiem, ale małpa bez tych samych dowodów to czemu i nie, przynajmniej w niektórych już postępowych krajach. Szczęście polegało na tym, że w dwa dni po planowanym odlocie zgłosili się do nas dwaj panowie w późnych godzinach wieczornych. Moja żona drzwi w mieszkaniu we Frankfurcie nie otworzyła. Wystarszona telefonowała do mnie: „Strasznie się dobijali i dzwoniли do drzwi jakby się paliło. Oczywiście im nie otworzyłam”. Na drugi dzień rano paszport leżał w skrzynce pocztowej, oczywiście z najcenniejszym jego elementem, czyli z wizą do bratniej Kanady. Ciekawym dodam na zakończenie, że wycieczka doszła do skutku bez angażowania wojewody i konsula troszczących się o obywatela, a o Polonię w szczególności. Raczej chciałem pokazać dwa systemy państwa przyjaznego obywatelowi.

Wracając do naszego autobusu. Doszukiwanie się elementów dyskryminacyjnych na podstawie przeszukiwanki w autobusie, tak jak imputuje jeden z komentarzy jest bezpodstawne. Przedsiębiorstwo transportowe, które odpowiadało za przewóz było firmą niemiecką. Podstawiony autobus został zamówiony wprawdzie u polskiego przewoźnika, ale natomiast złapana pani z „cygeratami” legitymowała się niemieckimi dokumentami.

W ostatnim czasie można było spotkać doniesienia o tym, jak to w okolicach przejścia granicznego w Świnoujściu niemiecka policja dokładnie sprawdza apteczki w samochodach i za zbyt krótkie nożyczki „wali” kary, dla odmiany po polskiej stronie jeżdżą samochody na niemieckich tablicach bez włączonych świateł, chociaż przepisy mówią inaczej. Komentarze niekiedy suponowały odpowiedź, swego rodzaju *retaliation*, jak to niekiedy w układach dyplomatycznych bywa. Kto zostałby wtedy najbardziej poszkodowany, gdyby wprowadzono owe *retaliation*.? Zapewne te wszystkie sklepiki, pensjonaty, kafejki, restauracje, apteki itp., w których zaopatrują się goście. Gdyby poszła fama, że akurat szykanuje się gości, zainteresowanie spadłoby tak samo, jak spadło w dawnym NRD, które w wielu wypadkach traktuje się jedynie jako kraj tranzytowy i to pomimo wielu atrakcji turystycznych. Oczywiście takie *retaliation* odbyło się w postaci sprawdzania również potrzebnej po polskiej stronie gaśnicy. Ale na szczęście nowoczesna wojna w nowoczesnej i zjednoczonej Europie na apteczki i gaśnice zakończyła się rozejmem. Policja niemiecka anulowała mandaty na apteczki. A co z gaśnicami ?

Właśnie odbywały się niedawno temu igrzyska zimowe, olimpiada polonijna Śląsk-Beskidy 2008. Na rozpoczęcie gładziło kilku wyżej postawionych m.in. na temat podtrzymywania kontaktów i wartości patriotycznych. Co w naszym mobilnym społeczeństwie oznaczają wartości patriotyczne ? Przecież nikt nie nakazuje nam ginąć za Gdańsk, a za Niceę też nikt nie zginął, chociaż było kilku

chętnych śmiałków. Na szczęście ich życie zostało uratowane. Zaryzykuję definicję: patriotyzm to dodzwonić się do urzędu. Albo może inaczej: patriotyzm to załatwić coś w urzędzie. A w urzędzie pani pyta: hasło?, odpowiadamy: orzeł, pani pyta: odzew?, odpowiadamy: biały. Sorry, to tak było w innych czasach. Obecnie przy okienku pytają: Peesel ? i już lecą numery, NIP ? i już lecą numery. To taki współczesny patriotyzm, znać te wszystkie numery na pamięć. „A dowód osobisty ma? Nie? No to jazda do domu. Do urzędu bez dokumentu przychodzi.” A to wsiowa kultura. No i jak tu z takim motłochem wprowadzać ideał przyjaznego państwa ?

W czasach kolektywizmu w ramach wychowania patriotycznego nauczano wszystkich jednym ciurkiem: „Litwo, ojczyzno moja...”. A teraz w innych czasach, czasach indywidualizmu każdy w ramach prywatnej ojczyzny posiada swoją „prywatną ojczyznę”, swoją niepowtarzalną Litwę, czyli jedyny i niepowtarzalny numer Peesel i NIP, bo przecież nia ma takiego drugiego. Może już wkrótce jakiś liryk w ramach modernistycznego patriotyzmu napisze „Ode do mojego niepowtarzalnego Peesel-u i NIP-u” ?

„Wśród przyjaciół wielu, psy zajączka zjadły.” Morał wynika mianowicie taki, że wokół nas kłębi się tyle wspaniałych organizacji, które troszczą się o nas i chcą nam pomóc, że już się nie da oddychać. Ale dobroczyńcy mają jeden problem, nie chcą popadać w konflikt przekraczania kompetencji. Znana jest zasada biurokratyczna: jeżeli mógłbyś coś zrobić źle, to nie rób tego wcale. Może to i dobrze, liczymy w końcu na siebie, ale jednak w końcu ktoś ten biurokratyczny nawis musi opłacać.

Maciej Jachowicz